

Kiedy się ocknąłem dotarło do mnie, że nie mogę się poruszać i nic nie widzę. Poza świadomością nie posiadałem żadnych innych fizycznych dowodów własnego istnienia. Moja jaźń spanikowała i zaczęła się rozpadać. Natychmiast powstrzymałem rozwijający się chaos i jeszcze raz skupiłem myśli. No właśnie! Cogito ergo sum. To już coś.

#

Teraz musiałem ustalić, gdzie jestem. Spróbowałem się poruszyć, ale niemoc opanowała moje ciało. Byłem jak sparaliżowany. Sparaliżowany? To słowo ponownie wyzwoliło panikę. Strumień myśli dosłownie mnie porwał. Uległem wypadkowi? Trafiłem do szpitala? Jak? Nic nie pamiętam! Boże, co się stało? Nic nie widzę, nic nie słyszę. Nie czuję rąk, nóg, nic nie czuję. Czy tak właśnie wygląda śmierć? Trwałe uwięzienie świadomości w pustce pozbawionej czasu i przestrzeni?

#

Z szaloną nadzieją założyłem, że jestem w śpiączce. Czyż nie powinienem w takiej sytuacji słyszeć? Wyciszyłem się. Znieruchomiałem jak zaniepokojone zwierzę. Nasłuchiwałem całym sobą. Lecz poza ciszą nic nie słyszałem. Nic. Wyłącznie cisza. Może jednak nie żyję? Ponownie straciłem kontrolę nad swoimi myślami. Przytłoczony ich intensywnością, zemdląłem. Chyba.

#

Skąd miałem wiedzieć, ile czasu upłynęło zanim wróciła świadomość? Tym razem postanowiłem działać metodycznie. Niczym aramejski eremita odsunąłem wszystkie niecierpliwe myśli w najdalszy, ciemny kąt. Nie znaczy to, że nie towarzyszyły mi dalej w rozmyślaniach, ale już dałem im odpór. Nie ulegałem. Koncentracja. Gdy ignorowałem cały ten zgiełk, poczułem fizyczny napływ energii. Fizyczny! Jakbym rzeczywiście wchłonał coś odżywczego. Ucieszyłem się jak dziecko, bo to był pierwszy dowód na to, że mam ciało. W

jakiś pokrętny, obcy sposób, spożywałem pokarm. Nie wiedziałem jak, nie wiedziałem czym i nie wiedziałem co, ale byłem pewien, że się odżywiłam. Ten fakt dał mi pocieszenie.

#

Z nim przyszło zrozumienie, że przez cały czas czuję fizyczny napór z każdej strony. I uderzenia. Kuksańce. Przepychanki jak w przepełnionym autobusie. W wyobraźni widziałem bezwładny tłum kołysany ruchami kierownicy pojazdu miejskiej komunikacji. Zakręć w prawo wszyscy w lewo, hamowanie - ludzka ciżba do przodu, przyśpieszenie - człowiecza bezmyślna masa przesuwana do tyłu. I ten napór bujających się ciał, z każdej możliwej strony. Zgiełk, wszechobecny tłok i dziesiątki spoconych, śmierdzących latem ciał. Kładły się na mnie i przyklejały. Ich bliskość krępowała moje ruchy. W wyobraźni poczułem zimną stalową poręcz, którą chwyciłem moką ze zdenerwowania dłonią. W rzeczywistości nie czułem ani swoich rąk ani nóg. Nic, poza tym dziwnym ciśnieniem.

#

W końcu mój rozdygotany umysł wjechał na tory logicznego myślenia. Skoro odczuwam parcie, to znaczy, że mam skórę. To jej receptory przekazują fizyczny dowód na istnienie zewnętrznego świata. Skoro mam tego świadomość to znaczy, że istnieją niezliczone połączenia nerwowe pomiędzy skórą, a umysłem. Przynajmniej mogę żywić taką nadzieję. No i ostatecznie posiadam zewnętrzną warstwę. To zaś oznacza, że jestem, bo nie tylko myślę, ale i mam ciało.

#

Znowu mi ulżyło, choć nadal nic nie widziałem i nie słyszałem. A co gorsza nie miałem też pojęcia ile czasu znajduję się w tym stanie. Szczerze mówiąc, to kompletnie nie wiedziałem, czy czas w ogóle płynie.

#

Czułem zmiany temperatury. Tak. Potrafiłem stwierdzić, że powtarzają się cyklicznie, jedna po drugiej. Raz ciepło, potem chłodno, następnie znowu ciepło. Początkowo próbowałem je liczyć, ale zawsze się gubiłem. Moja świadomość zapętleła się, a sen przestał istnieć.

#

Zmiany temperatury oddziaływały na mnie. Skóra uczyła się i stopniowo przejmowała rolę pozostałych nieobecnych zmysłów. Sprawiała, że słyszałem, gdy na przykład zbliżała się życiodajna woda. Trudno opisać ten stan. Może jako radość z nadchodzącej przyjemności? Wilgoć oplatająca moje jestestwo była jedynym porównywalna z euforią trzyletniego chłopczyka, który w lipcowe upały chodził z mamą na basen. Mam to na zawsze wpisane w pamięć.

#

Z czasem odkryłem schemat. Zaraz po wodnej kąpieli przychodziła pora odżywiania. I w przeciwieństwie do wody, którą przyjmowałem całym sobą, pokarm docierał najpierw w jedno miejsce. Dopiero później rozlewał się po mnie kojącym ciepłem. To jedno miejsce, od którego rozpoczynała swoją podróż odżywcza fala, było magiczną bramą do innego świata. Niekiedy mobilizowałem całe swoje postrzeganie. Pragnąłem choć przez chwilę ujrzeć świat inny niż ten, w którym utknąłem. Wtedy świadomość parła skomplikowaną siecią połączeń, a im wyżej docierała, tym jaśniej się robiło. Czasami osiągała... ja osiągałem cel.

Za każdym razem próbowałem zostać. Nie chciałem nie wracać. Nie do ułomnego ciała, czymkolwiek ono było. Pragnąłem zerwać kajdany, wiążące świadomość z fizycznością. Bezskutecznie. Niepowodzenia nie zrażały mnie jednak, dlatego bez końca wyruszałem w podróż do granicy światów. Choćby dlatego, że z każdej wyprawy wracałem z cennymi wrażeniami. Ja tym o słońcu, które swoimi miękkimi promieniami delikatnie muskało moje zmysły. Albo tym o wietrze, który kołysał mną, jak liściem, który kurczowo

trzymał się gałęzi. Czułem jakąś więź z rośliną. Może dlatego, że ja też nie chciałem umierać? Nawet, jeżeli resztę życia miałem spędzić leżąc nieruchomo. Nadal nie miałem zielonego pojęcia gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Coraz częściej nachodziła mnie natarczywa myśl, że nie jestem już człowiekiem.

#

Na poznawaniu siebie mijały dni, a może tygodnie. Uboga percepcja nie pozwoliła mi określić, w którym dokładnie momencie poczułem obecność innych. Skupiłem się na tym fragmencie siebie, który poczuł kontakt. Skóra w tym miejscu wyostrzyła zmysł. Nic. Wrażenie nie powróciło. A może nie było go wcale? Cała nadzieja zbierała się do lotu. Niczego nie byłem już pewien. Nie wiedziałem, co znaczy chodzić, chwytać, jak to jest słyszeć, mówić, czuć zapachy. Odnalazłem za to jakąś szaloną satysfakcję w samym byciu, zadowolenie z trwania. Czułem się w tym spełniony jak pustelnik. Już nie protestowałem. I tak dojrzewałem, unieruchomiony w swojej obojętności.

#

Spokój zaburzyły złe wibracje. Z początku metafizyczne drgania, szybko przekształciły się w fizyczne. Mój świat, a ja razem z nim, dosłownie pulsowaliśmy w ich rytm. Nie pamiętam, kiedy uczucie niepokoju zamieniło się w lęk. Wibracje rozchodziły się wokół mnie, zwiastując zmianę. Nagle i gwałtownie opuściłem swój świat. Poczułem też coś, o czego istnieniu już dawno zapomniałem: ból. Zmysły oszalały. Znowu uderzenie, tarcie, skaleczenie, ciśnienie, ulga, nacisk, uderzenie. Bez końca. Impuls za impulsem. Świat rozpadał się na kawałki.

#

Poddawany torturom, odczuwałem obecność znajomych istot. Jakbym obcował z tysiącem własnych kopii. Mógłbym wręcz przysiąc, że otaczał mnie ich ziemisty zapach. Toczyłem się

i podskakiwałem. I nagle w jednej chwili wszystko się skończyło. Zniknął ścisk, a ja wyczułem ciepłą i miękką dłoń. Uświadomiłem sobie, że jest tak ogromna, że potrafiła objąć mnie całego. Kaprys w rękach Boga, który obracał mnie i podrzucał, jak małą gumową piłeczkę.

#

A potem mój Bóg zadał mi ból, o jakiego istnieniu nie miałem pojęcia. Bóg zdarł ze mnie płat stwardniałej skóry. A ja nie mogłem, nie potrafiłem zemdleć. Ginał bezpowrotnie ostatni zmysł, łączący moją świadomość z otoczeniem. Wydawało mi się, że tortury trwały całą wieczność.

#

Już tylko ostatnie cięcie...

#

Znowu umarłem, ale nie na długo.